
TRAMWAJ

pismo uczestników i sympatyków ino



43

*V Zlot
Przodowników
InO*



– grudzień 2002 –

Wydawca: Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze
Zarząd Główny – Komisja Imprez na Orientację
00-075 Warszawa; ul. Senatorska 11

Zespół redakcyjny: *zespół ds. wydawnictw Komisji InO ZG PTTK*

Adiustacja: *Dariusz Zajac*

Autorzy tekstów: *Beata Tyburska, Jakub Kaczyński, Wiesław Rusak, Ania Popławska, Ewelina Urbańska, Maciej Ostrowski, Bartek Kuraś, Zbigniew Tarnowski*

Skład i łamanie: *Dariusz Zajac*

Druk: *GOLMAR-GRAF*

Nakład: 60 egzemplarzy

NOTKA OD REDAKTORKA

Tym razem na mój apel i usilne błagania odezwało się trochę więcej ludzi – autorów artykułów w niniejszym numerze Tramwaju. Mam nadzieję, że liczba artykułów i autorów współpracujących z nami będzie systematycznie rosnąć.

W tym numerze kilka artykułów o zawodach, które już za nami - DMP, Domino, Podkurek, Maraton Radomski, Harpagan. Być może przed zamknięciem tego numeru uda się zamieścić Ranking Pucharu Polski 2002. Gratulacje dla Marka P. i Szczura!!

Witam po krótkiej przerwie na łamach Tramwaju Outsidera z nadzieją, iż tym razem częściej będzie tu bywał.

Poza relacjami z imprez artykuł o tym co się dzieje w Komisji InO (co by nikt nie zarzucił, że nic się nie dzieje), oraz kilka słów o alkoholu na imprezach.

Życzę dobrej zabawy i miłego spędzenia czasu na V Jubileuszowym Zlocie Przodowników InO a korzystając z okazji dużo sukcesów na InO w nadchodzącym sezonie.

REDAKTOR

(-) Beata TYBURSKA

CO NOWEGO W KINO

Podczas ubiegłorocznej Krajowej Narady Aktywu InO w Modlinie pod adresem Komisji InO ZG PTTK uchwalono m.in. następujące wnioski: zdefiniować w przepisach pojęcie „*mapy turystycznej*” dozwolonej na trasie imprezy na orientację; wprowadzić sankcje dla osób nie zachowujących zasad fair play; zobowiązać organizatorów imprez do zamieszczania w protokołach przynależności klubowej, tak samo w klasyfikacji Pucharu Polski. Tymi zagadnieniami Komisja zajęła się podczas swojego ostatniego zebrania w Drzewinie dnia 22 czerwca 2002 r. Poniżej przedstawiam ustalenia jakie zapadły w stosunku do każdego z ww. zagadnień.

a) Zdefiniowanie w przepisach pojęcia „*mapy turystycznej*” dozwolonej na trasie InO

Zgodnie z przepisami zespół może być zdyskwalifikowany między innymi za używanie map nie dostarczonych i nie dopuszczonych przez organizatora (Zasady punktacji i współzawodnictwa w turystycznych InO PTTK, rozdział VIII, pkt 3, podpunkt d). Tak więc wszystko jest jasno sprecyzowane.

Jednak od paru ładnych lat wśród części uczestników wytworzyło się jakieś dziwne przeświadczenie, prawo zwyczajowe, zgodnie z którym używanie map turystycznych jest dozwolone i niczym niezgodnym z przepisami. Tak było min. na „*Matni '99*” w Bieszkowicach, gdzie część zespołów zamiast korzystać z dojsściówek przekazanych przez organizatorów używało pełnej, kolorowej mapy turystycznej. Podobna sytuacja mnie spotkała na Pucharze Wagarowicza, gdzie jeden z uczestników rozdawał pozostałym osobom z jego środowiska kserówkę w skali 1:25000. A o ilu przypadkach w ogóle nie wiemy albo wiemy doskonale, ale przymykamy oko albo po prostu się boimy zwrócić uwagę?

Dlatego Komisja InO ZG przypomina o ww. przepisie tj. **bezwzględny zakaz posiadania na etapach jakichkolwiek innych map (w skalach mniejszych niż 1:50 000) niż dostarczonych przez organizatora**, a wobec osób które się do tego nie ustosunkują, **bezwzględnie wyciągać konsekwencje**.

W poprzednim akapicie uwagę może przykuć fragment zamieszczony w nawiasie, a mianowicie „**w skalach mniejszych niż 1:50 000**”. Jest to novum na jakie zdecydowała się Komisja. Tak więc mapy w skalach 1:50 000 są dozwolone, oczywiście o ile organizator z jakiś względów i takich używać zabroni. W tym miejscu należy się także jeszcze jedno wyjaśnienie. Skala 1:50 000 jest dozwolona pod warunkiem iż mapa źródłowa będzie również w tej skali, a nie na zasadzie pomniejszenia map w skalach 1:10 000 czy 1:25 000.

O innych odstępstwach uczestnicy powinni być informowani w regulaminie zawodów oraz na samych zawodach.

Oczywiście może się zdarzyć, że zawody są rozgrywane gdzieś przy granicy państwowej lub też w innym jakimś niebezpiecznym terenie i istnieją jakieś obawy ze strony uczestników – takie argumenty słyszano ze strony niektórych zwolenników mapy turystycznej. Jednak w takiej sytuacji to organizator powinien zadbać o bezpieczeństwo uczestników i to do niego należy decyzja, czy i jaką mapę przekazać uczestnikom.

A najlepiej i tak chyba będzie, jeżeli mapy nie będą zabierane na etapy, a bazować będziemy tylko na tym co otrzymamy od budowniczego. Wówczas nie będzie najmniejszych wątpliwości, że wszyscy mieli takie same szanse na przejście etapu.

b) Wprowadzenie sankcji dla osób walczących niezgodnie z zasadami „fair play”.

Tutaj przepisy również jasno określają jakie konsekwencje mogą spotkać uczestnika, jeżeli nie stosuje się on do powszechnie przyjętych i obowiązujących zasad postępowania na etapie. Dlatego to w zupełności wystarczy.

Problem jednak w tym, iż organizatorzy (Sędzia Gł.) czy Komisja Odwoławcza (rzadziej) nie chcą (boją się?) stosować tych sankcji. I tu powinno się zmienić! **Parę danych NKL na etapie za łamanie kredek, używanie komórek czy podkładów na pewno by poprawiło „czystość” zawodów.**

A więc czas najwyższy zacząć działać. Zgadzam się, że jesteśmy Towarzystwem, przyjaciółmi, znamy się doskonale i łączą niektórych z nas także stosunki poza InOwskie, nie mniej jednak i w takich sytuacjach powszechnie znane i popierane zasady powinny obowiązywać, a ich łamanie bezwzględnie egzekwowane. W przeciwnym razie na pewno nie wpłynie to korzystnie zarówno na rozwój i popularyzację naszej dyscypliny jak i atmosferę towarzyszącą naszym zawodom.

W poprzednim, 42 numerze „Tramwaju” **Waldek Fijor** w swoim artykule pt. **„Kredko – Łamacze”** przypomniał problem łamania kredek. Traktować to należy jako powtórkę sprzed ładnych kilku lat tj. apelu o nie łamanie kredek, wszak pojawiły się nowe, młodsze twarze na zawodach, a i u niektórych starszych uczestników pamięć chyba zaczyna szwankować. Mam nadzieję, iż po przeczytaniu tych materiałów, każdy się poważnie zastanowi nad tym jak postępuje na etapach i czy zawsze fair. A wówczas ten problem, jak i pozostałe wymienione wyżej znikną z naszego środowiska.

c) Zobowiązanie organizatorów imprez do zamieszczenia w protokołach imprez oraz klasyfikacji PP także przynależności klubowej.

Niejednokrotnie dochodzi do sytuacji iż np. nie zawsze osoba mieszkająca w danym mieście chce to miasto czy tamtejszy klub reprezentować (np. Janusz Kaczmarek mieszkający w Pile, ale związany ze „Skarmatem” czy Grzegorz Surma szczeciński „Neptunowiec”), jednak i zdarzają się wypadki, iż w jednym mieście jest

parę klubów i do tego rywalizujących ze sobą (np. Gdańsk – „*Neptun*”, „*Certus*”, „*SKPT*”, „*Przestrzeń*” czy „*Posejdon*”). Stąd ten postulat o zajęciu się tym tematem, aby wszystko było jasne i klarowne, gdyż stawianie wszystkich w jednym szeregu nie jest zgodne z rzeczywistością, a jedynie pójście na łatwiznę.

Przy okazji możemy się spodziewać także innych pozytywnych skutków jak np.:

- bardziej znane i popularniejsze staną się nazwy klubów (dla niektórych tak egzotyczne jak „*Dreptaki*”, „*Plessino*”, „*Igła*” czy „*Pielgrzym*”),
- zupełnie inny odbiór osoby trafiającej pierwszy raz na InO czy po wejściu na stronę internetową, gdy zobaczy iż w danym mieście działa taki a taki klub, a nie każdy sobie i indywidualnie.
- ułatwi to rozmowy z odpowiednimi osobami czy instytucjami, jeżeli bez żadnych kitów będzie można powiedzieć, że InO jest popularne – o czym świadczy właśnie tyle i tyle klubów.
- my sami na tym skorzystamy, gdyż zwiększy się własne przywiązanie do klubu i barw oraz pokaże to nam prawdziwy obraz polskich klubów MnO.

A jak to zrealizować? Jeden artykuł w *Tramwaju* już się ukazał („*Apel*” 41 nr), to jest kolejny. Po tym można zauważyć już rozszerzone o tą pozycję protokoły z takich imprez jak „*Gosk*”, „*Matnia*” czy „*Domino*”. Z „*Podkurka*” i „*Pucharu Wagarowicza*” protokoły mają jedynie kluby w młodszych kategoriach. Co szkodziło dodać do TS i TJ?

Najlepszym sposobem na zdobycie takiej informacji przez organizatora jest umieszczenie dodatkowej kolumny w karcie zgłoszeń oraz odnotowywanie tego (obowiązkowo) w sekretariacie (np. podczas zgłoszeń).

Jeżeli ktoś nie ma klubu lub nie chce go reprezentować wówczas wpisujemy - „*indywidualnie*”, tak jak ma to miejsce w BnO.

Natomiast główny nacisk musi być położony na klasyfikację PP i to przede wszystkim tam powinna pojawić się dodatkowa kolumna przeznaczona na przynależność klubową. Wszak to właśnie ona jest najpełniejszym odzwierciedleniem sytuacji InOwskiej w Polsce, a nie pojedyncza impreza. Póki co jej niestety nie ma. Jak powstanie, to podejrzewam iż luki zaczną uzupełniać sami zainteresowani.

(-) *Qubacki*

O Harpaganie-24 i nie tylko!!!

Startuję w Harpaganie rowerowym od Lęborka H-20 a więc był to mój piąty Harpagan i mam jako takie doświadczenie i odniesienie do poprzednich edycji tej w przeszłości wspaniałej imprezy. Na H-20,21,22 pojechałem ze Świnoujścia w pojedynkę, na H-23 było nas dwóch, do Pucka zgłosiłem sześć osób, ale dwie zachorowały i przyjechaliśmy w czterech. Start w H-20 był dla mnie pierwszym kontaktem z imprezami ekstremalnymi. Potem dzięki Wojtkowi Suchemu wystartowałem w eliminacjach do Salomona w 2001 roku. Startowałem razem z budowniczym tegorocznej trasy pieszej Dominikiem Jeremiejczykiem i Markiem Ziębą, którego większość z Harpaganowców zna z tras pieszych. Zarazony tą formą spędzania czasu wolnego sam postanowiłem zorganizować podobną imprezę. W 2001 roku zorganizowałem „I Ekstremalny Rajd Orła Bielika” (www.orzelbielik.pl). Udział w Harpaganach traktowałem jako świetną zabawę ale nie tylko. Była to okazja do sprawdzenia własnych umiejętności, wytrzymałości i odporności psychicznej. Dlatego też organizatorzy muszą pamiętać, że są odpowiedzialni za prawidłowe przygotowanie tras nie wszyscy chcą się tylko dobrze bawić, są i tacy, którzy start w Harpaganie traktują jako jeden z etapów przygotowań do innych startów. Nie miałem zastrzeżeń do organizacji H-20,21,22, nieco inna sytuacja była w Drzewinie. Jednak po rozmowie z Wojtkiem Suchym miałem nadzieję, że niedociągnięcia na H-23 były przejściowe i do wybaczenia w porównaniu z możliwością nie organizowania tego rajdu. Przyznam się, że bacznie obserwowałem organizację Harpaganów starając się podglądać to, co mogło mi się przydać przy organizacji mojego rajdu. Niestety, ale nie mogę nie wypowiedzieć się na temat ostatniego Harpagana, choć moje słowa nie wszystkim się spodobają. Sam byłem w podobnej sytuacji jak dziś Karol, kiedy to podczas tegorocznej edycji „Rajdu Orła Bielika” sędziowie nie doszli na PK gubiąc się w lesie i wiem jak czuje się w tej chwili Karol.

Do Pucka przyjechaliśmy samochodem w piątek w godzinach wieczornych. Po załatwieniu formalności w sekretariacie zawodów udaliśmy się do hotelu Delfin na nocleg. Przed położeniem się spać postanowiliśmy jeszcze raz sprawdzić rowery. Robiliśmy to na korytarzu do około 23.30 kiedy to z pokoju obok wyszedł inny rowerowy Harpaganowiec i zwrócił nam uwagę na nasze niestosowne zachowanie stwierdzając, że noc jest do spania a nie do prac przy ukochanym rowerku. W tym miejscu serdecznie w imieniu nas wszystkich przepraszam kolegę z Warszawy.

Rano pobudka o 5.30, pierwszy odgłos, jaki doszedł do moich uszów to uderzające krople deszczu o parapet. Pomyślałem, że niestety, ale Karol musi mieć słabe lub świetne kontakty ze Św. Piotrem i załatwił lub nie załatwił pogodę tak czy owak

nie było odwrotu. Około 6.25 byliśmy na rynku w chwili, gdy organizatorzy zaczęli rozdawać mapy. W naszej grupie ja byłem odpowiedzialny za nawigację, więc po przeanalizowanie rozmieszczenia PK postanowiłem, że ruszamy na południe. Przeniosłem PK-18,13, 3 i 5 na kolorową mapę Nadmorski Park Krajobrazowy i ruszyliśmy na trasę.

Osobiście nie jestem zwolennikiem jazdy po asfalcie, więc na PK-18 pojechaliśmy obok stadionu miejskiego i dalej niebieskim szlakiem w kierunku, na Rzucewo. Szlak wiódł wąską ścieżką wzdłuż kilkunasto metrowego klifu, cały czas słychać było plusk fal i podrywające się do lotu mewy. Jako pierwsi przyjechaliśmy na rozwidlenie dróg w lesie gdzie według mapy powinien stać krzyż. Niestety, ale nic takiego nie było. Pierwsze z wątpliwość w moje skromne umiejętności i szybka decyzja wysłania kolegów w cztery strony świata. Niestety po kilku minutach nie znaleźli krzyża. Od strony Rzucewa zaczynają nadjeżdżać kolejni zagubieni rowerzyści, mijają kolejne minuty na poszukiwanie krzyża i kodu. Dojeżdżamy do krzyża otoczonego czterema drzewami, ale to nie ten krzyż. Rowerzyści rozjeżdżają się po lesie szukając krzyża i kodu, po chwili jeden z rowerzystów znajduje gdzieś kod, ale bez krzyża, podaje go wszystkim wpisujemy go do kart i jedziemy w dużej grupie na PK-13.

Po zaliczeniu PK-13, jedziemy szosą przez Mosty, Kosakowo, Dębogórze i dalej polną drogą w kierunku do Leśniczówki Zaklęty Zamek. PK-5 to według opisu rozwidlenie dróg, na mapie wyraźnie w środku kółka jest znak topograficzny „punkt triangulacyjny” obok stoi leśniczówka i wieża przekaźnikowa. Zbiera się nas tam kilkudziesięciu, jest wśród nas jeden z organizatorów Adventure Trophy i zarazem jeden ze zwycięzców H-22 w Kwidzynie na trasie rowerowej Roman Trzmielewski. Wszyscy stoimy zdezorientowani, znający się lepiej na orientacji ludzie zbierają się w małe grupki i konsultują się czy jesteśmy w dobrym miejscu. Po chwili jesteśmy pewni, że to jest miejsce zaznaczone na mapie, ale nadal nie mamy kodu. Idę na podwórko do leśniczego, który na początku jest bardzo zdziwiony, że nikt z organizatorów nie powiadomił go o takiej ilości ludzi w lesie, w którym oprócz nas są przecież np. także myśliwi! Leśniczy zaprowadził nas do szkieletu szałas służyącego do prezimowania sadzonek i stwierdził, że tu kiedyś była wieżyczka na małym wzniesieniu. Kilku z nas próbuje dzwonić do organizatorów, inni proszą leśniczego o nazwisko i je wpisują do karty, inni proszą go o podpis na karcie. Kilku z nas rozjeżdża się i sprawdza wszystkie rozwidlenia dróg w promieniu 300 m z wynikiem negatywnym.

Zjazd leśną drogą do Kazimierza był czystą przyjemnością. Dalej oznaczoną ścieżką rowerową przez pola do Ciechocina, tam za przejazdem kolejowym skręcamy w lewo i jedziemy lasem do PK-3. Niestety drobna różnica na mapie kolorowej powoduje, że straciliśmy kilkanaście minut na poszukiwanie PK.

Dalej jedziemy na PK-4, niebieskim szlakiem na zachód a następnie zjeżdżamy do leśnej drogi i tu kolejny mój błąd zamiast pilnować mapy jadę za kilkunastoma

rowerzystami a koledzy za mną nie koncentrując się na mapie. Efekt łądujemy na łące za wioską a przed nami rzeka Reda. Szybko zorientowałem mapę i wracamy kilkaset metrów do zabudowań, skręcamy na zachód i już prosto do Wejherowa a dalej szosą w kierunku Pieśnica Wielka. Koledzy mają zdecydowanie więcej siły, po wyjechaniu z Wejherowa zostawiają mnie z tyłu. Jak ja nie lubię asfaltu! Dojazd do PK-4 jest prosty i łatwy, natomiast mam wątpliwości, co do opisu. Nie było to skrzyżowanie dróg a przejazd przez strumień, którego na mapie organizatorów nie było.

Wracamy do leśnej drogi i szybko do wioski Orle a dalej szosą nad J.Orle gdzie znajdował się PK-16. Dla mnie znowu zaczyna się walka z asfaltem przez Kochnowo, Kębłowo do Kębłowskiej Tamy na most. Dojeżdżamy do mostu gdzie stoi już kilkunastu zdeorientowanych rowerzystów szukających kodu. Nagle jeden z nich wychyla się za balustradę i radośnie oznajmia, że jest kod „HARP” wpisujemy do karty i ruszmy na PK-1 do Świetlina.

Dalej znowu szosą do PK-9, przed skretem w prawo z asfaltu w las widzę nadjeżdżającego Daniela Śmieję, później okaże się, że będzie najlepszym na trasie rowe-rowej. Razem z Danielem niestety nieudanie startowałem w tegorocznej edycji Adventure Trophy 2002. Mijając się z nim Daniel coś do mnie krzyczał, ale nic nie rozumiałem. Za kilka minut już wiedziałem, o co mu chodziło. W lesie kolejna niespodzianka. Spotykamy tam kilku rowerzystów, którzy bezskutecznie szukają kodu. Zgodnie z moimi odliczeniami przepust powinien być 200 metrów dalej i rzeczywiście znajdujemy przepust, ale nie ma kodu. Po chwili zastanowienia postanawiamy przeszukać okolice, schodzimy z rowerów i wchodzimy do lasu po kilku minutach jest kod namalowany na drzewie od strony lasu.

Jest już późno i wiem, że nie ma szans na zaliczenie 10, 2 i innych PK umiejscowionych na północy. Postanawiamy zaliczyć 15, 8, 7, 12 i może 20. Niestety, ale znów asfalt do 15 pod zbiornik elektrowni „Żarnowiec”, byłem tam już na H-21 i znałem drogę. Znać drogę a przewidzieć zachowanie się niektórych sędziów to całkiem inna sprawa. Po dojeździe do PK-15 słynny już „kierunkowskaz do knajpy” zamiast spisać cokolwiek jedziemy jak „posłuszne baranki” znowu asfaltem pod wiatr tam gdzie skierowali nas sędziowie. W knajpie przy jednym stoliku siedziało trzech przemarzniętych rowerzystów i stolik jak mi się wydawało z tubylcami pijącymi wódkę i popijającymi piwem. Pytam się o sędziów i ku mojemu zdziwieniu pokazywani są ci goście przy wódzie. Podchodzę i nie wytrzymuje, zaczynam gadać im coś o odpowiedzialności, głupocie czy braku wyobraźni, ale do nich już nic nie dociera. Dzwonię na telefon alarmowy podany przez organizatorów, ale nie dochodzi do rozmowy z Karolem. Puszczają mi nerwy i dzwonię na Policję, niestety, ale okazuje się, że bateria wyładowała się. Mieli farta ci goście, bo chyba nawet nie zdawali sobie sprawy, że takie ich zachowanie wyczerpali znamiona przestępstwa. Zrezygnowany postanawiam zakończyć swoją przygodę z Harpaganem, głośno wyrażam swoje oburzenie na organizatorach i ruszam do Pucka, koledzy robią to samo.

Jedziemy do zbiornika i potem zamkniętą drogą pod budynek elektrowni. Zjazd jest niesamowity jeden z kolegów osiąga 75 km/godzinę ja tylko 69, cyfra to kojarzy mi się z całkiem przyjemniejszymi sprawami niż to, co spotkałem na tegorocznym Harpaganie. Jeden z kolegów rozpędzony zbyt późno orientuje się, że ma zdarte klocki hamulcowe i łąduje za rowem po przepięknym fikołku. Mimo, że jesteśmy 2,5 km od PK-8 zrezygnowani nie zaliczamy go i jedziemy do Pucka przejeżdżając znowu 1 km od PK-20, do którego także nie jedziemy. Do mety dojeżdżamy na 40 minut przed czasem.

Gorąca grochówka i sympatyczne Panie w kuchni trochę rozładowują moje zdenerwowanie. Jedziemy do hotelu wykapać się, potem na pizzę i piwko. Około 21.00 wracamy do bazy, ja przede wszystkim chcę spotkać się z Michałem Kiełbasińskim, Grześkiem Foremnym i Remikiem Nowakiem, którzy tak fantastycznie rywalizują ze sobą w tym roku na trasach rajdów przygodowych a tu według organizatorów idą jako jedyni jeszcze z jednym nieznanym mi piechurym z szansą na zdobycia zaszczytnego miana Harpagana. Wreszcie tuż przed zamknięciem mety wchodzi cała prowadząca czwórka, witam się z kolegami i serdecznie im gratuluję. Czekamy na zakończenie, rozmawiając w gronie zawodników i organizatorów. Słowa kpina, kompromitacja, całkowita kłapa organizacyjna górują nad bardziej powściągliwymi ocenami. Zakończenie dobija nie tylko mnie, Michał Kiełbasiński wściekły wychodzi nie pozostawiając suchej nitki na organizatorach. Okazuje się, że nie mają zaliczonego jednego PK i kłapa. Rozumiem Michała i nawet nie próbuję jeszcze raz z nim rozmawiać. Charakterystyczna jest natomiast dyskusja z budowniczym trasy pieszej. Na uwagi, co do TP jednego z piechurów, którzy od kilku lat jest zawsze w czołówce, kwituje je słowami „*jak miałeś problemy z PK to znaczy, że nie masz pojęcia o zawodach na orientację*”, kolega odpowiada, „*jeżeli ja nie mam pojęcia to, kto ma pojęcie?*” w domyśle tylko budowniczy.

Po przemyśleniu błędów na trasie rowerowej myślę, że budowniczy trasy rowerowej nawet nie przejechał rowerem całej trasy. Wygląda na to, że wykreślił ją na kolanie tuż przed imprezą nie wychodząc z domu. Inna sprawa to fakt, że Karol nie sprawdził trasy osobiście. Wiem z doświadczenia, że osoba wytyczająca trasę widzi to inaczej niż uczestnik, dlatego należy po wytyczeniu trasy jeszcze raz ją sprawdzić najlepiej przez doświadczoną osobę.

Wieczorem wracamy do hotelu wymieniając swoje spostrzeżenia przy piwku. Koledzy nie kryją rozczarowania, czekałem tylko, kiedy zostanę zaatakowany za namówienie ich na ten wyjazd. Obliczyliśmy, że koszt wyjazdu wyniósł nas nieco ponad tysiąc złotych na cztery osoby. Kupa forsy, za to można zorganizować fajną imprezę rowerową na miejscu. Po noclegu, rano zbieramy się do wyjazdu. Po zapakowaniu rowerów na przyczepkę ruszamy do Świnoujścia.

Na koniec kilka najpoważniejszych uwag do organizatorów, które według mnie były powodem negatywnej oceny tegorocznego Harpagana:

-zmiana skali mapy dla rowerzystów tuż przed imprezą, co świadczy, że trasa była budowana w ostatniej chwili, prawdopodobnie na przysłowiowym kolanie bez sprawdzenia PK w terenie,

- źle wrysowane na mapie PK-18 i 5,
- błędne opisy dla PK-18, 5,
- ukryte bezmyślnie kody,
- pijana obsługa PK-15 i zmiana miejsca tego PK przez sędziów,
- brak lampionów na PK,
- brak obsługi sędziowskiej lub perforatorów na pozostałych PK,

Były, też plusy, do których zaliczam, pomysł z ciepłym posiłkiem, który był naprawdę smaczny i organizacja samej bazy.

Mam też kilka propozycji i pomysłów dla organizatorów do wykorzystania na wiosnę:

- wszystkie PK powinny być oznakowane lampionami,
- wykorzystać na PK system SportIdent,
- za dodatkową opłatą przygotować kolorowe mapy dla chętnych,
- dla bezpieczeństwa uczestników bezwzględnie należy powiadomić o rajdzie pewne instytucje takie jak: straż leśna, nadleśnictwo, Straż Graniczna,
- powrócić do sprawdzonych w przeszłości form np. zakończenia rajdu.

Czas na refleksje, co zrobić na wiosnę, jechać czy zostać w domu i samemu zorganizować sobie małą imprezę? Mimo, że jestem rozgoryczony organizacją H-24 będę chciał jeszcze raz przyjechać na Kaszuby i mam nadzieję, że będzie to impreza godna miana HARPAGANA i taki tytuł mam nadzieję otrzymają od nas uczestników organizatorzy najbliższego rajdu. Tego sobie, Wam uczestnikom i organizatorom życzę.

Do zobaczenia na wiosnę.

*(-)Wiesław Rusak
„WiechoR”*

XXV Ogólnopolski Spęd Popaprańców

czyli Co się właściwie działo na DMP 2002

wstępu słów kilka

Zaczęło się dość dziwnie.

Środa, 3 tyg. i 2 dni przed DMP, ul. Bolta 4e, godzina 18:15 CET „*Młody, zgłaszam Cię na DMP'y*”.

Środa, 2 tyg. i 2 dni przed DMP, ul. Bolta 4e, godzina 18:25 CET „...*zapowiada się dobra drużyna – TS'y nam powyjeżdżały, ale w TJ jest Młody...*” salwa śmiechu.

Piątek, kilka godzin przed rozpoczęciem imprezy, Dworzec Wschodni w Toruniu. „*Cała ekipa jest? To wsiadamy!*”

Jak to było na miejscu

Po kilkugodzinnej jeździe PKP dojechaliśmy wreszcie do Sadlinek. Od jednego z członków naszej ekipy dowiedzieliśmy się, że teren jest dość ciekawy... Dwuznaczność tego określenia niejednemu zmroziła krew w żyłach. Po kilkunastu minutach znaleźliśmy nawet bazę i tu „*wielkie zaskoczenie*” – baza jest w szkole ☺ Po krótkich negocjacjach z Klucznikiem dostaliśmy dwie sale. No to przynajmniej kulturalnie się wyśpimy. Wtedy jeszcze w to wierzyłem. Szybkie rozpakowanie, zmiana ciuchów, kasa w dłoń i na miasto. Jeden z punktów w regulaminie spowodował, że wyjścia na miasto stały się troszkę bardziej konspiracyjne, ale o tym później. Potem kilkadziesiąt ceremonialnych powitań ze starymi znajomymi i powoli można było pomyśleć o uskutecznianiu śpiworów. To jest to, co lubię – pełny brzusek, ciepły śpiworek i kobieta u mojego boku (wtajemniczeni wiedzą, o kogo chodzi). Jednak przed owym zaśnieciem miało jeszcze miejsce zebranie, które jakkolwiek niezbędne, nieco popsuło humory w ekipie. Ale nic to. Koło godziny 8 rano cała nasza ekipa była już w komplecie, a więc jeszcze tylko rozpoczęcie, jakieś co nieco i ruszamy na start.

Sedno sprawy, czyli etapy

Na start ja i mój timmejt, czyli tzw. Tomek Borkiewicz, stawiliśmy się na starcie dokładnie o czasie, więc nawet nie mogliśmy popodziwiać widoków, których za sprawą m.in. Neptuna w tym roku nie zabrakło. Mapa okazała się dość typową szwajcarą z ciekawymi dodatkami. Pierwszy punkt, a przy okazji z 3 towarzysze

wskazali nam lokalni drwale przechadzający się po lesie – dobry omen – Sadlinki są z nami. Drugi punkt był dla nas jednocześnie punktem A, o co potem w bazie trochę się budowniczym posprzeczałem (mi dać mylniaka? Też mi pomysł!). Dalej szło raczej gładko i dopiero na 8 PK usłyszeliśmy, że ktoś depcze nam po piętach. Dalej była zdradliwa LOP'ka, która zebrała duże żniwo. Były na niej dwa „dodatki”, my zauważyliśmy tylko jeden. Dalej PK 9, 10, 11 i 12, mała LOP'eczka i jako pierwsza drużyna zameldowaliśmy się na mecie. Notabene startowaliśmy także jako pierwsza. Etap fajny, meta też. Teraz tylko jakiś soczek wypiliśmy, spałaszowaliśmy drożdżówki, kilka słów z przemiłą organizatorką, która zbierała trawę dla królika, (jeśli ktoś wie, o kim ja mówię to proszę ją pozdrowić) i ruszamy na drugi etap.

„To jest trywialne” głosił napis na mapie, później okazał się być nieco zdradliwy. Nad tym etapem nie będę się rozwodził, bo nie ukrywam, że chwilami zupełnie nie wiedziałem, jaki wycinek gdzie dopasować, a chyba nie powinienem się chwalić tym, że taktyka „o, tego jeszcze nigdzie nie wpisaliśmy” jest, co najmniej, haniebna. Ale daje poczucie sukcesu. Gorzej, jeżeli przy okazji nie znajduje się 2 albo i 3 PK. To nie było trywialne, a do tego wizja medalu zawieszzonego na mojej szyi stawała się coraz mniej realna.

Po powrocie do bazy i kilku godzinach spędzonych na jedzeniu i braniu prysznic (pzdr dla Natalii) dowiedziałem się, że po pierwszym etapie i kilku protestach w pierwszej piątce TJ znajdują się aż 3 ekipy ze SKARMAT'u. Zaczęło się naprawdę nieźle. Po drugim etapie wszyscy nieco popłynęliśmy, ale sytuacja wciąż była dobra. Pozostali członkowie naszej toruńskiej ekipy także radzili sobie nie najgorzej, więc marzenia o sławie znowu zagościły w mojej głowie. Teraz należało się trochę wyspać przed nocnym etapem, zjeść coś i w międzyczasie skoczyć na miasto.

Czas startowy na nockę mieliśmy raczej optymistyczny – w środku stawki tak jak lubię. Po dotarciu autobusem na start okazało się, że jesteśmy w połowie stawki marzących, bo „mamy mały poślizg”. Mi to nie przeszkadzało, ale znacznie obniżyło morale wśród niektórych uczestników.

Tak oto, gdy zegar wskazał 41. minutę startową ruszyliśmy w las. Na początku pomierzaliśmy trochę odległość z Krzysiem Kulą, który zmierzał w tym samym kierunku, a potem... kicha. „Jaką masz odległość?” „To już powinno być gdzieś tutaj”. No właśnie... A ścieżki na południowy-zachód jak nie było tak nie ma. Jeszcze dwa razy sprawdziliśmy odległość i stwierdziliśmy, że azymut to będzie dobre wyjście. Chyba nie było. Ale było jedynym, bo jak długo jeżdżę na zawody, tak długo nie widziałem, żeby między zaznaczyć na mapie jak ścieżkę. Nieważne. Godzinę szukaliśmy 1 PK, ale nie tylko my – wierzcie mi, 30 osób z latarkami, na niewielkiej przestrzeni potrafi wprowadzić element chaosu. A ja byłem coraz bardziej zniechęcony. Skończyło się na wariancie alarmowym – biegusiem na metę i stamtąd bierzemy jeszcze kilka PK. Plan nie był najgorszy, bo mimo, że wzięliśmy tylko ostatni PK, to nie byliśmy nawet w ostatniej dziesiątce. Ponadto mój partner z drużyny popisał się nie lada spostrzegawczością wpadając do rzeczki – sqbany! Jeden punkt zebrany z etapu, a jemu się udało skąpać. Potem jeszcze ognicho, kiełbaski i do bazy.

Nawet nie pamiętam co robiłem w bazie. Wiem tylko, że jak się obudziłem, to byłem po 3 etapach na 7. miejscu, a SKARMAT na 3. Jakby to powiedział budowniczy 1-go etapu – plan minimum.

Wrażenia ogólne

To były moje 6. DMP i dopiero drugie, na których nie czuło się niezdrowej atmosfery rywalizacji. Było fajnie. Organizacja bez zarzutu (szczególnie podobała mi się akcja pacyfikacji magazynu z materacami). A teraz przejdźmy do podziemia. To co autor jednego z punktów w regulaminie chciał osiągnąć jak najbardziej popieram... Ale nie tędy droga! Skłonienie dorosłych ludzi do krycia się jak uczniaki jest dość śmieszne. Ale podkreślam – cel z całego serca popieram. Podsumowując - impreza fajna, medale fajne, hologramy też były niczego sobie, a i myślę, że etapy będą pretendowały o miano najlepszych w tegorocznym rankingu. Szczególnie podobał mi się etap I – Michała Smreki. Trochę dlatego, że mi na nim dobrze poszło, ale nie tylko dlatego.

Tylko jedna rzecz mnie wciąż zastanawia... Czy nie byłoby łatwiej przywieźć ze sobą królika?...

Z turystycznym pozdrowieniem

Krzyśó „Młody Olo” Kędzior

Rzut jajkiem na orientację, czyli Podkurek 2002.

Kiepskie dobrego początki?

Do Grodziska, małej miejscowości pod Warszawą dotarliśmy późnym wieczorem, mając za sobą zwiedzanie naszej pięknej stolicy (a dokładniej przepięknego dworca wschodniego). W bazie dowiedzieliśmy się, że chwilę przed naszym przyjazdem miała miejsce mała sprzeczka między miejscowymi, a naszymi kolegami, którzy wybrali się do pobliskiego baru. Bilans tej kłótni to trochę otarć i rozbita kluczem do kół wargi, na szczęście wydarzenie to (mimo iż wywarło duże wrażenie na uczestnikach) nie zepsuło atmosfery zawodów. Gdy już dowiedzieliśmy się o wszystkich nowinkach i przywitaliśmy się ze znajomymi, udaliśmy się do naszego pokoju, którego rolę pełniła bardzo przytulna szatnia. Jeszcze tylko mała imprezka z okazji imienin naszej klubowej koleżanki i można się było położyć spać. Rano wstaliśmy pełni zapału i udaliśmy się na uroczyste rozpoczęcie, a później na start do etapów.

Niestety organizatorzy nie trafili z pogodą, ale te braki rekompensowały trasy jakie zostały przygotowane...

Etap I „Przekroje”

Start znajdował się w dużej starej stodole dzięki czemu nie mokliśmy czekając na swoją kolej. Na trasie naszym zadaniem było odnalezienie odpowiedniej warstwy i znajdujących się w jej pobliżu punktów kontrolnych, do niektórych należało jeszcze dopasować przekroje trasy. Zadbano także o dodatkowe atrakcje takie jak przypadkowa kąpiel, a nawet spotkanie z dzikiem, które przeżyły koleżanki Bacia i Iwonka (biedny dzik, co on musiał przeżyć?). Po etapie krótka przerwa na wafelka i odpoczynek, a potem...

Etap II „Trochę kultur(y)”

Tu zaserwowano nam troszkę rozrywki umysłowej, aby wyruszyć na trasę trzeba było rozwiązać pewną zagadkę logiczną, która na początku stwarzała wrażenie zupełnie nielogicznej. Później szło już gładko, problemy mogły sprawiać jedynie czarno-białe wersje map IOF, ale i z tym można było sobie poradzić. Wiele zamieszania narobiła za to krótka informacja zamieszczona na samym końcu instrukcji: „*Obowiązuje 11 PK*” (na mapie było 18 punktów). I tu także, już na samym końcu można się było wykapać (z czego skorzystali prawie wszyscy).

Mokrzy ale szczęśliwi

Dotarliśmy wreszcie (na pieszo) do bazy, po dojściu do siebie ruszyliśmy na obiad (tym razem już autobusem) trzeba przyznać, że panie przygotowujące posiłek naprawdę się postarały (choć mam wrażenie, że po takiej dawce wrażeń każdy obiad zostałby przeze mnie pochłonięty). Po obiadku czas na konkurs rzutu jajkiem niestety z wielkim żalem stwierdzam, że nie wziąłem w nim udziału. W oczekiwaniu na etap nocny wymiana uwag dotyczących tras dziennych i oczekiwanie na wyniki. Wreszcie nadeszła chwila startu do...

Etapu III – „Szachownica”

Trasa mimo długości liczącej ponad 4 km nie sprawiała wielu trudności. Można za to było (jak to zwykle w czasie nocek bywa) zobaczyć wiele dziwnie wyglądających formacji zawodników noszących tajemniczą nazwę „tramwaj”. Etap ten był zarówno w TJ-ach jak i w TS-ach bardzo łatwy, w sam raz na zakończenie.

Po powrocie

do bazy w bardzo miłej atmosferze oddaliśmy się rozmowom i śpiewom, no i oczywiście konsumpcji najpopularniejszego napoju wśród inowców- piwa. Zabawa i dyskusje trwały do późnej nocy, na szczęście nikomu to chyba nie przeszkadzało, a w miarę upływu czasu (i piwa) dołączało do nas coraz więcej osób.

Rano wstaliśmy trochę skołowani, ale zadowoleni, to była naprawdę udana impreza.

Bartek Kuras

Okiem Outsidera

Radomski Maraton – piwko, blaszka i coś jeszcze...

W zeszłym roku wystartowałem w dwóch imprezach pucharowych, które oce- niłem na tyle dobrze, że aż udało mi się wylosować bezpłatny start w jednej z tegorocznych imprez. Imprezą tą był XXXVIII Ogólnopolski Maraton Marszów na Orientację, organizowany przez radomskie środowisko InO w Ruskim Brodzie koło Przysuchy. Dawno nie gościłem u Radomian, a wspomnienia wywiezione z mojej poprzedniej imprezy, Maratonu w Iłży, nie były niestety najlepsze: zapchana mała szkołka nie przygotowana na taką ilość uczestników, problemy z sanitariatami (słynne „radomskie kible”), trasy, które wzbogaciły „aż do bólu” aspekt turystyczny, gdy pośród zamglonych podiżzańskich pól starałem się wyczesać metę (wariant ratunko- wy – krzyżyk na rozdrożu i modlić się, żeby organizatorzy zbierając trasę zebrali i mnie), a w końcu obiad... który nie doczekał zmęczonego Outsidera. Pozytywnie nie nastrojały również różne „radomsko-warszawskie” klimaty, generowane zwykle w momencie zetknięcia mocnych charakterów kolegi przewodniczącego (podówczas obecnego, obecnie byłego) i kolegi przewodniczącego (podówczas przyszłego, obec- nie obecnego). Te i inne czynniki towarzysko-merytoryczne sprawiły, iż dało się słyszeć, że do Radomia jedzie się tylko i wyłącznie „na piwko i po blaszkę”, a nie na InO. No nie wyglądało to najlepiej i – co tu kryć – zdecydował aspekt finansowy i pewien sentyment, którym darzę wzgórze nad Przysuchą.

Impreza zaczęła się w piątek, kiedy z Anką Trykozko ruszyliśmy jej samocho- dem przez podgrójeckie sady, Nowe Miasto nad Pilicą, Rusinów i Przysuchę do Ruskiego Brodu (w tym miejscu przy okazji podziękowania dla kol. Trykozko, z którą już na nie jedną imprezę na orientację bezpiecznie dojechałem i bardzo to sobie chwale). Na miejscu bez większych problemów namierzaliśmy szkołę, gdzie powitał nas kol. Bosy [kurcze – żeby nie wizytówka, to bym chyba zapomniał jak on ma

naprawdę na imię :-)] i wydał świadczenia, w tym słynną „blaszkę” – metalowy znaczek pamiątkowy z imprezy. Szkółka nie była bynajmniej większa od tej, którą pamiętam z Iłży, ale na szczęście było również dużo mniej uczestników. Byliśmy chyba jedną z pierwszych drużyn warszawskich. W bazie już trochę osób było, w tym ucieszyła mnie szczególnie obecność pewnego długo nie widzianego przeze mnie zdobywcy afrykańskich szczytów, a ostatnio pogromcy alaskańskich grizlich, którego poczucie humoru cenię sobie nad wyraz. Na szczęście udało się uzyskać od p. kierownika imprezy zapewnienie, że informacja o starcie o 7:00 rano występująca w regulaminie jest co najmniej mocno przesadzoną plotką (o czym nie wiedzieli niestety nasi biedni koledzy jadący rano z Warszawy), tak więc już spokojnie można się było udać na spoczynek.

Rano poza niedospanymi uczestnikami, którzy właśnie przyjechali z Warszawy pojawił się również kol. Darek Zając i można było już otworzyć imprezę. Po otwarciu – odprawa, na której dowiedzieliśmy się m. in. że do startu pierwszego etapu jest tak ze 2 km, będzie ze 45 minut drogi. Wiedziony przecuciem i czarną sławą tzw. „radomskich kilometrów” podobnie jak wielu innych uczestników ruszyłem na start doliczając do czasu dojścia zapasowy kwadrans. I tu pierwsza niespodzianka – w tym roku wyjątkowo 1 km radomski był krótszy od 1 km ogólnopolskiego. Start znajdował się ok. 1 km od bazy, nie więcej niż 15 minut drogi. Ranek był pogodny, więc można było jeszcze trochę popatrzeć na piękno otaczających nas wzgórz Garbu Gielniowskiego ustrojonych w złocisto – czerwone, jesienne szaty.

Etap I zbudował Boguś Ciastek. Na starcie z Tomkiem i Januszem rozpaliliśmy coś na kształt ogniska, przy którym mogli się później ogrzać uczestnicy czekający na start. W końcu przyszła moja minuta i dostałem swoją mapę. Był to SEROWIEC, twórcze podejście Bogusia do prastarej koncepcji szwajcarki. Na mapę naniesiono osiem kół, w każdym kole znajdował się fragment mapy w kształcie zbliżonym do trójkątnego opakowania serka topionego. Fragment ten mógł obracać się względem środka koła, w którym się znajdował. Wycinki nie były co prawda zorientowane, ale niektóre z nich można było orientować w oparciu o punktowe elementy topograficzne, których piktogramy pokazują północ (np. dołki). Dodatkowym ułatwieniem okazał się regularny układ działów leśnych, które łatwo można było nanieść na mapę i używać dalej do nawigacji. Etap kończył się dwupunktową LOP-ką rozpoczynającą się na ambonie. Pewne trudności pojawiły się na pierwszym PK – wg moich przewidywań powinien znajdować się w dołki na prawo od drogi, którą przyszedłem ze startu. Przeczesałem bagienka po prawej stronie od drogi – i nic. No chyba nie chodzi o tą latarnię po lewej stronie... na wycinku jeszcze jest przepust, ale nie ma do niego drogi... a może? Jeśli moja droga idzie po tym przepuście, to właściwie może i on? Dość myślenia, czas leci – trza bić. Dalej już było trochę łatwiej, 2 i 4 namierzyłem z przecinek, 5 w bardzo ładnym miejscu na mostku, i co dalej? Chyba azymut.. lecim na Szczecin.. po drodze (gdzieś pod Piłą) zauważyłem jakiegoś lampionka, ale tu? lampion – no być nie może... No ale w okolicach tego mojego „Szczecina” ani śladu, i niczego nie widać. Sprawdzam azymut... odległość.. jaka skala? nie piętnastka? ups... co za skucha – dziesiątka. Wracam się i już wszystko

się zgadza – szóstka moja. Dalej siódemka, wygląda na łatwą ale... później zaczyna wyglądać jak stowarzysz. Już nie wracam, bo czas goni. Trzeba się wrócić na trójkę – tu ktoś próbował przechytrzyć organizatorów i w desperacji rzucił się z zębami na kredkę ołówkową... biedak... mam tylko nadzieję, że plomby wytrzymały... Ósemka powinna być prosta – znowu tylko z pozoru. W terenie pojawiło się sporo rozjeżdżonych dróg. Ale jakiś lampion jest – biję i spadam na lopkę. Przede mną młodniaczek z za którego wystają ze trzy ambony. Namierzam się i próbuję wyciać która jest właściwa, tylko ten młodniaczek coraz gęstszy... wreszcie biję tę LOP-kę i docieram na metę – Boguś zadowolony, bo jak ja się pojawiam na mecie, to znaczy, że wszyscy już są. Ja z resztą równie zadowolony, bo etap mi się podobał.

Teraz trzeba się dostać na start E2 – kilkaset metrów drogą na sam szczyt górki, a tam mają czekać bułeczki i coś do picia. Na starcie E2 widziałem coś, co nazwał bym Lampionem Roku 2002 – poza gromadką uczestników czekał na mnie czerwono-biały kwadracik z napisem głoszącym „*START E2, proszę czekać, zaraz wracamy*”. Jak się okazało ekipa startowa w pewnym momencie poszła po gorącą herbatę na parking, by z pomocą kilku uczestników wtargać ją na szczyt.

Drugi etap nazywał się „*Marsz ku dolinom*” i był normalną szwajcarką, z wycinkami o niepełnej treści. Teren wyjątkowo nie sprzyjał chodzeniu „*na krechę*” więc znów spróbowałem skorzystać z istniejącej sieci przecinek. Początkowo było to dosyć proste – PK 1 namierzyłem bez większych problemów. Do PK 2 jednak było daleko. Poszedłem działem na zachód potem granicą lasu do asfaltu – zrobiłem przez to straszne kółko, ale dwójkę namierzyłem. Dalej było ciekawiej. Wycinek przypominający kasztana – upstrzony wprost oskarpowanymi dołkami – PK 3. W terenie oczywiście lampionów do diabła i ciut ciut. Wybrałem ten, na który wszedłem azy-mutem i odległością. PK 4-8 mniej lub bardziej stowarzyszone znalazłem w sumie bez większych problemów. Ale już w drodze z 8 na 9 zaczęło mnie porządnie rzucać. Krzaki, pole, jar, pole, krzaki – brrr.. czasu mało... to nie ma sensu – idę na metę. Tylko jak ??? Może asfaltem ? Spróbujemy... ale w lewo czy w prawo ? No nie... w środku wsi meta raczej nie będzie.. organizator chyba mówił coś o gajówce.. spróbujemy w lewo.. jest kierunkowskaz na zbiornik pożarowy i względnie niedawno „*jechana*” droga. I są TJ-oty wracające z mety do bazy. Żyjemy. Ufff... Idziemy do bazy.

W bazie obiadek i wyniki. Moje miejsce klasyczne. Na obu etapach pierwsze – no w swojej kategorii jestem nie do pokonania. Moja kategoria zawsze sprawdza swoją pozycję od końca klasyfikacji :-). Mam szansę zająć chwalebne ostatnie miejsce na wszystkich etapach – nie jest źle ;-).

Przychodzi czas na nockę. Etap zbudowany przez Piotra Wieczorka. Wreszcie coś oryginalnego. Szachownica w której rogu ustawiony jest laser, a w kilku polach żarówki. Obok – symbole elementów optycznych (lustra, pryzmat itd.) i wycinki mapy. Trzeba ustalić położenie wycinków, tak, by promień lasera przechodzący przez układ optyczny zbudowany z przypisanych wycinkom elementów optycznych spowodował zapalenie żarówek. Zabawa na kombinatorykę. Można kupić rozwiązanie za 24 pkt. karnych. Większość kupuje. Są jednak wyjątki – Leszek Herman-

Iżycki rozwiązuje samodzielnie zadanie po około godzinie. Gdyby nie ta godzina, niechybnie wygrał by ten etap – a jak twierdzi wieść gminna może nawet całą imprezę. W tym samym czasie druga część uczestników zмага się z telewizorem starając się go namówić do pokazania meczu Polska – Łotwa. Telewizor nie był raczej chętny do współpracy. W końcu przychodzi i moja kolej. Dostaję mapę. Patrzą, myślę, kombinuję... ale nic nie widzę. Ale nie kupię rozwiązania. Nie po to tu przyjechałem, żeby kupować rozwiązania. Mam pomysł – sprawdzę elementy wpisane już w mapę, a potem pójdę „po promieniu lasera”. Pierwszy PK bez problemu – w planie ze startem przy cmentarzu. Wchodzę na szachownicę. Walę na azymut na jedną z żarówek. Las jest makabryczny – pościny i poprzecinany bardzo głębokimi bruzdami, tu – jak się później okazało – zakończyli swoją walkę Sebek z Irą. Zniosło mnie jak trzeba i nic nie wyczesalem. Ale doszedłem do drogi, gdzie już coś było. Tylko jak to opisać. Nic nie pasuje. Zbliża się grupa latarek – to mikro-tramwaj z Waldkiem Fijorem i Andrzejem Wysockim – mówią, że jesteśmy zupełnie gdzie indziej niż mi się wydaje. Ale co ja będę słuchał mądrzejszych - wrzuciłem opis żarówki (oczywiście błędnie) i poszedłem czesać dalej. Czesalem długo namiętnie i praktycznie bez sensu. Zwiedziłem mnóstwo dróg (w tym te, których nie było nawet na wzorcówce – o co zresztą nie było trudno, mapa wzorcowa miała bowiem bardzo podłą aktualizację), przez około pół godziny w ogóle nie wiedziałem gdzie jestem – starałem się drogami wyjść na asfalt i złapać kontakt z rzeczywistością. W końcu udało się. Doszedłem do miejsca, z którego namierzałem się na żarówkę. Zaczęłem wrysowywać drogi w kratki szachownicy i zarysowała mi się nowa koncepcja przejścia trasy. Ruszyłem dróżką w prawo. Znowu latarki – to Kazio. On również stara się mi powiedzieć, że jestem w zupełnie innym miejscu niż mi się wydaje. Ale tym razem to ja mam rację. Tnę dalej. Do zacinającego od jakiegoś czasu deszczu dołącza powoli śnieg. Latarka zaczyna szwankować. Trzeba się poddać – znowu pierwsze miejsce będzie moje. Wracam na metę i tu zaskoczenie – Sebek z Irą zeszlizli z trasy i są na tym etapie za mną. A na mecie czeka ognisko. Nie na dworze – tam się nie dało go rozpałić ze względów pogodowych. W piecu w kuchni. Są kiełbaski, chleb, musztarda i ketchup, jest piwko. Wbrew temu, czego się obawiałem stosunek ilości piwka do kiełbaski jest zupełnie rozsądny. Nie jestem zwolennikiem alkoholu na InO, sam jestem abstynent (znaczy się ten co niniejszym donosi), i bardzo nie podobał mi się np. bir-bar urządzony przy wejściu do bazy tegorocznej MATNI, ale jakoś w tej kwestii nie mogę powiedzieć złego słowa o Maratonie.

Przyszedł ranek. Biały. Śnieg zasypał Ruski Bród. Rano zamknięcie imprezy i tradycyjne ponoć nagrody – satysfakcja z udziału w imprezie. Na zakończenie kolega przewodniczący KInO ZG dokonał uroczystego zamknięcia (bazy) imprezy na klucz i zaczęliśmy się rozjeżdżać. Zadanie okazało się nie trywialne, o czym przekonał się m. in. kol. kierownik imprezy próbując uruchomić swój samochód. Te nowoczesne samochody nie radzą sobie z naszymi warunkami pogodowymi. Nie ma jak stary dobry duży fiat Sebka i Iry Janasów... Wzięli na hol niedysponowane autko i pomogli „zastartować”. Niech mi tylko ktoś wytłumaczy czemu Bosy startował swój samochód pod górkę...

W klasyfikacji generalnej zająłem oczywiście należne mi miejsce, ale rywalizacja jest dla mnie naprawdę rzeczą trzeciorzędną, więc specjalnie się tym nie przejąłem. Plecak ciasno zapakowany, to i puchary (których nota bene oczywiście nie było) by nie weszły. Nie to jest ważne. Ważne są dobre wrażenia, które wywiozłem z Ruskiego Brodu. Obiektywnie impreza była słaba. Mogę tu mówić o niezbyt oryginalnych trasach E1 i E2, i nie do końca przemyślanej trasie E3, mogę mówić o bazie, w której od efektu „*radomskich kibli*” uchroniła organizatorów prawdopodobnie tylko niewielka frekwencja, o braku elementów krajoznawczych (sam doszperałem się informacji o niejakim Hubalu, który walczył w tych terenach – organizatorzy nie ułatwili mi tego zadania) i o tym, że impreza wyglądała na zorganizowaną przez trzy osoby, które nie zawsze dawały sobie radę z jej ciężarem. Mogę ponarzekać jeszcze ze trzy strony na ten temat. Ale pamiętam, że z Ruskiego Brodu wyjeżdżałem zadowolony. I nie dlatego, że impreza się skończyła, ale dlatego, że nie żałowałem tego wyjazdu, że warto było przyjechać, bo poza blaszką, która wisi u mnie w pokoju i piwkiem – którego oczywiście nie wypilem, było coś jeszcze. No i cieszę się z mojej nagrody.

A tak przy okazji, skoro już ten numer „Tramwaju” ukaże się na Zlocie Przedowników, na którym – z powodów finansowych – nie będę mógł uczestniczyć, chciałbym zwrócić uwagę na jedną ciekawostkę związaną z regulaminem konkursu na najlepszą imprezę prowadzonym przez KInO ZG. Jak to się dzieje, że uczestnicząc w dwóch imprezach w roku mogę je oceniać, a startując w czterech już nie? Jakoś nie rozumiem idei, dlaczego oceniać imprezę mają wyłącznie osoby z czołówki InO, którzy jednym startem potrafią wypracować normę, na którą ja pracuję przez cały rok. Dlaczego decyduje rywalizacja? Czy ta rywalizacja nie wpływa na wyniki? W naszym warszawskim konkursie regionalnym oceniać może każdy, kto przyśle ankietę zawierającą oceny co najmniej trzech imprez, w których startował. Wydaje mi się, że ten system jest znacznie lepszy niż ogólnopolski. Wszakże osoba, która startuje w owych trzech imprezach może je porównać, ma pewne odniesienie niezależnie od tego, które miejsce w nich zajęła. Chętnie przeczytałbym na łamach naszego piśmka kilka słów na ten temat.

Outsider

Domino 2002 – z punktu widzenia junierek

Kiedy dowiedziałyśmy się, że tegoroczne Domino odbędzie się na naszej ukochanej Jurze Krakowsko – Częstochowskiej wiedziałyśmy, że musimy tam pojechać. Pozostała tylko kwestia wyboru terminu wyjazdu. Podróż w piątek samochodem brzmiała mało porywająco, więc postanowiłyśmy jechać w nocy z czwartku na piątek, dodatkową zaletą tego wariantu było wolne w szkole ☺. Po odżywczym i zdrowym posiłku złożonym z kilograma frytek wyruszyłyśmy na dworzec.

Podróż

Na dworcu spotkałyśmy się z Hajdasem, który właśnie wybierał się na kurs topograficzny do Złotego Potoku. Podróż pociągiem minęła w wesołej atmosferze – o spaniu oczywiście nie było mowy.

6:00 – Dworzec PKP Zawiercie – ciemności

Wszystkie bary zamknięte, Hajdas musi jechać, co my będziemy robiły przez najbliższe 12 godzin?!? O, nagle na horyzoncie dostrzegamy znajome twarze. To Madzia, Karol i ich dzieci (tylko 10). No to już mamy plany, jeszcze nie wiemy gdzie jedziemy, ale wiemy, że z nimi. Po chwili okazuje się, że naszym pierwszym celem jest (dobrze nam znany z wakacyjnego pobytu) zamek w Podzamczu k. Ogrodzieńca, pełen (jakże stylowych) elementów planu filmowego „Zemsty” z tektury, styropianu, pianki itd...

Wycieczka

A zatem ruszamy zwiedzać. Jednak takie normalne wejście i obejrzenie zamku z zewnątrz (poza sezonem jest zamknięty) byłoby nudne. W związku z tym, w ramach atrakcji, Karol znalazł bardzo ciekawy sposób przedostania się przez zamkowe mury, tzn. jakieś małe okienko na wysokości 2 metrów w ścianie, w dodatku zakratowane. Na początku wyglądało to trochę nierealnie, ale w praktyce nie było najgorzej. (Dzieci, nie pokazujcie zdjęć rodzicom, bo was więcej na wycieczkę nie puszcza.) My oczywiście cały czas tęsknym wzrokiem spoglądałyśmy na skały (gdyby tak mieć liny, uprząże i trochę magnezji...mmm, Karol chyba podzielał nasze marzenia, bo demonstrował dzieciom, czego się nigdy nie robi – tzn. nigdy nie wspinamy się bez asekuracji).

Kolejnym etapem naszej wyprawy było przejście Pustyni Błędowskiej, która obecnie bardziej przypomina step. Po drodze było wesoło. Co 15 minut padało pytanie: ile jeszcze zostało do przejścia? I dyplomatyczna na nie odpowiedź w stylu: jak

stąd do tamtąd. W końcu woda – i to nie fatamorgana – a zaraz za rzeczką wieś Błędów. Tylko Magda i Ewelina były zawiedzione, że przegadały tylko coś około 3 godzin. Po drodze do Zawiercia zahaczyliśmy jeszcze tylko o Hutę Katowice. Tak, tak, sami się zdziwiliśmy, że nas tam przywiało, ale nie ma tego złego... Potem jeszcze tylko obiad w Zawierciu (Kosmos nas zawiódł – nie zamówił figurującego w menu schabowego a la kosmos). Po posiłku mogliśmy wreszcie wyruszyć do bazy.

Piątek – droga do Kroczyca

Na przystanku, czekając na PKS, spotkaliśmy „prestizowych” kolegów z Częstochowy (Jaksa i ferajna). Podróż minęła w luksusowych warunkach – na każdego pasażera i jego plecak przypadał mniej więcej 1m³ przestrzeni (niestety czasem podzielony na dwie części często w różnych końcach autobusu) – kto jechał z nami, doskonale wie o co chodzi.

Piątek – nareszcie baza

Po dotarciu na miejsce, stwierdziłyśmy, że skoro już dołączyłyśmy do dzieci Magdy i Karola, to zostajemy z nimi. Rozłożyłyśmy się więc na sali z Posejdonem, Karolem, Kosmosem, a nazajutrz rano dołączyli do nas Kaczor i Qbacki. Reszta piątku upłynęła na powitaniach z pozostałą częścią inowskiej braci. Przy dźwiękach gitary, miło spędziliśmy czas do jakiejś 4:00 [ja (Ania) do jakiejś 24:00, za bardzo chciało mi się spać].

Sobota – etap I

Wyruszałyśmy na niego pełne optymizmu. Etap speleologiczny!!! Miałyśmy tylko pewne obawy związane z limitem czasu, bo z naszym sentymentem do jaskiń mogłyśmy długo z nich nie wyjść (zapytajcie Ewelinę, na czym polega akrobatyka jaskiniowa). Na szczęście limit przewidywany w komunikacie technicznym na 80' zmienił się na 180'. No to startujemy. Na mapie dużo treści, nie poprzekręcana, obok (format mapyA3) szkice jurajskich widoczków (skałki) i plany jaskiń (hurrrrrra!!!). Tylko coś nam nie gra – aha, nie wiemy gdzie jesteśmy, ale budowniczy etapu (Waldemar Fijor) powiedział nam, że mamy podążać generalnie na zachód i tam gdzieś znajdziemy pierwsze punkty. Na szczęście pierwszy PK, na jaki wpadłyśmy, okazał się naszą (właściwą!) jedyneką. PK2 i PK3 bez problemu. Widoczek z PK3 – wspaniały – nawet drzewka na rysunku zgadzały się z tymi w terenie. Teraz kolej na PK4...niby łatwe dojście – nic trudnego, ale żeby było śmieszniej postanowiłyśmy iść przez Górę Zborów (nie zdążyłyśmy wejść na szczyt we wakacje, bo rozpętała się burza więc była okazja do nadrobienia zaległości). Było wesoło – wchodziłyśmy i schodziłyśmy chyba po 3 razy, ze wszystkich możliwych stron. Po godzinie stwier-

dziżyliśmy, że starczy zwiedzania, wróciliśmy na PK3 i stamtąd grzecznie, drogą pospacerować w kierunku PK4. Potem wszystko szło bez problemów. Chcieliśmy przejść Berkową, ale w czwartek naprawdę było dużo frytek, a po co niepokoić JOPR. A zatem spokojnie (15 minut przed limitem – nietypowe jak na nas) dotarliśmy na metę. Wynik – 10 karnych – z wrażenia w Berkowej zapomnieliśmy o literce w opisie PK.

Sobota – po etapie

Etap kończył się w Podlesicach, miałyśmy dojść pieszo do Kroczyca, ale znaleźli się dobrzy ludzie, którzy zabrali cztery ubłocone stworzenia (nas, Kosmosa i Maćka S.) na stopa. Jeden zakręt okazał się niebezpieczny dla życia Eweliny – samochód nie wytrzymał naporu 7 pasażerów i otworzyły się drzwi. Potem obiadek i krótki odpoczynek w bazie (dla jednych) w barze (dla innych), który dla niektórych okazał się niebezpieczny – Przemek musiał iść na etap z ciężkimi obrażeniami palca....

Etap II – nocny

Najpierw krótka dojsciówka, którą pokonałyśmy z Przemkiem i Qbackim. Droga upłynęła nam przy nieustannie wypowiedzianych przez Przemka słowach na „a” i na „p”, a ja nadal nie wiem, dlaczego? Dostajemy mapy – wygląda nieźle – typowa Szwajcarka (dodatkowo punkty ograniczone trzema drogami i nawet wiadomo, które kółko, w którym miejscu). Kolejność nieobowiązkowa, więc najpierw wybrałyśmy się na PK2 – X metrów drogą, potem około 70 w las i szukamy skałek. Skałki są, punktu nie ma! Mija 30 minut. Ktoś woła, że coś ma, więc przebijamy się przez las w kierunku głosu. Coś stoi, wprawdzie nie pasuje, ale z braku alternatywy potwierdzamy i wracamy na drogę tylko gdzie ona jest?!? Przed wejściem w las zapomnieliśmy sprawdzić gdzie jest północ. No dobra – idziemy przed siebie. Jakieś pole – to chyba nie tędy. Tam są jakieś światła! Maras, jak miło cię widzieć!!! Gdzie jesteście? Na naszej dwójce, jak miło! Jeszcze tylko pytanie o naszą drogę i dalej. Marek pokazał nam kierunek, niestety on myślał o tej drugiej drodze. Kiedy po jakiś 70 minutach od startu udało nam się wreszcie dowiedzieć, gdzie jesteśmy (niespodzianka – północ jest na górze mapy), to dalej już szło bez większych problemów [tylko jeszcze przy PK3 zauważyłam (Ania), że w moim kompasie brakuje najistotniejszej części – tej z igłą magnetyczną]. Przy PK11 zauważyłyśmy, że wchodzimy w tłuście i jak zwykle zabrakło nam czasu na dokończenie etapu. [Być może nasuwa się tu wniosek, że powinniśmy zacząć biegać – ale nie! W końcu to MARSZE – tu się chodzi! (Kaczor, weź to sobie do serca)]. Reszta czasu upłynęła miło – siedzieliśmy do rana przy gitarze i śpiewie (Krzysiek L. postawił na nogi chyba całą szkołę wykonaniem Rastamana).

Niedziela – etap III

Po mniej lub bardziej przespanej nocy ruszyliśmy na etap III. Start umieszczono pod znajomym wiaduktem kolejowym (Kaczor, nieładnie tak pisać po murach!). Startowałyśmy z 52 minutą, a że było bardzo zimno postanowiłyśmy poskakać przy piosence „Już nie będziesz motylku skrzydlaty...” (skakanie wychodziło nam lepiej niż śpiewanie). Etap okazał się całkiem przyjemny. Wprawdzie miałyśmy pewien problem ze znalezieniem PK1 (przyczyną była pomyłka kolorystyczna budowniczego trasy – w końcu zielony i niebieski to takie podobne barwy), ale trwało to tylko chwilę. Pozostałe, naniesione na mapę PK, znalazłyśmy dość szybko. Dodatkową atrakcją były zjazdy z gór. Mi (Ewelinie) udało się zjechać 3 razy. Na punkcie 12 dowiedziałyśmy się, że 3PK, które należało wykreślić i potwierdzić „jeżeli wystarczy czasu”, nie są liczone jako zadania. Pojawił się mały problem, bo nie wiedziałyśmy za bardzo gdzie jest meta no i (jak zwykle) zabrakło nam czasu. (Ale biegać i tak nie będziemy!) W końcu dotarłyśmy na metę.

Niedziela – po etapie

Doprowadziwszy się do ładu (Wiemy, że niektórzy są zgorzeleni wizją wizyty w łazience), nęczone cudownym zapachem jedzenia, udałyśmy się na stołówkę. Obiad był przepyszny, siedziało się tak miło, że zostałyśmy tam jeszcze przez godzinę. Czas uprzyjemniłyśmy sobie wnikliwą obserwacją członków komisji☺. Do etapu nocnego zostało nam jeszcze sporo czasu, który skrupulatnie wykorzystaliśmy (tzn. poszłyśmy do baru). Niestety nadszedł czas na to, co niekoniecznie najbardziej lubimy, czyli...

Kolejny etap nocny.

Startowałyśmy z 32 minuta, po drodze na start ujrzałyśmy tłumy inowców pod latarnią – czyżby jakiś sentyment.... Jednak po otrzymaniu map, nie dziwiłyśmy się więcej i same udałyśmy się w kierunku źródła światła. Mapa – niby banał: kolorowa, pełna – tylko te 8 LOPEk do dopasowania... W zasadzie na etapie szło nam nieźle, za wyjątkiem jednej źle dopasowanej LOPki, niestety nadal nie wiemy dlaczego pod koniec znów zabrakło nam czasu. Wchodząc kilka minut w tłumy dotarłyśmy na metę. Akurat wybijała godzina 24:00 – czas naszego hymnu. Cóż zrobić – zaczęłyśmy śpiewać. Fałszowanie tak bardzo nam się spodobało, że przez całą drogę darłyśmy się na całe gardło, śpiewając „przeboje” polskiej sceny muzycznej („Agnieszka”, „Zawsze z Tobą chciałbym być...”) Nam się bardzo podobało nasz wykonanie, ale nie wiem czy nasze zdanie podzielali mieszkańcy Kroczyca, spokojnie śpiący w swoich domach.

Już w bazie

Gdy weszłyśmy do klasy dojrzałyśmy wśród sterty porzucanych rzeczy trzy, samotnie leżące śpiworki (nasze i Karola), reszta naszych współlokatorów

pojechała do domciu. My jednak, jako najwytrwalsze, nie dałyśmy pokonać się ogarniającej nas senności i postanowiłyśmy czekać na wyniki (razem z innymi). Jak zwykle znalazła się gitara i chętni do grania (Bosy, Krzysiek). Darek Z. zaprezentował swój nowy ekwipunek turystyczny (trzy sosy Tabasco☺). Herci nam zabrał misia, którym potem wszyscy się opieczętowaliśmy (zgadnijcie, komu misiu pokazuje język☺). W trakcie imprezy do klasy wkroczył Maras z kartonikiem o sympatycznej zawartości. Wywnioskowałyśmy z tego, że ma powody do świętowania. Puchar Polski w Kategorii seniorów to nie byle co. Gratulujemy!!! Przy okazji, co to za czasy żeby nad tablicą wisiały napisy edukacyjne: „jajębina”, „żyrafa rucha żółw(ia)” itp. Nieładnie – czego oni w tej szkole uczą☺!?! Po paru godzinach nocnych rozmów, udałyśmy się na zasłużony spoczynek. Oczywiście wyników się nie doczekałyśmy, bo program komputerowy nie mógł pojąć zamysłów budowniczego i Seba musiał liczyć sam.

Poniedziałek rano – wyjazd

Oczywiście, wykorzystując maksymalnie możliwość snu, wstałyśmy 20 minut przed wyjazdem. Nie byłyśmy spakowane, więc czas ten upłynął nam na gorączkowym poszukiwaniu swoich rzeczy we wszystkich kątach sali i szybkich pożegnaniach. W drodze do samochodu rzuciłyśmy okiem na wyniki – 6 miejsce – mogło być lepiej. Wracając obudziłyśmy się tylko raz – na śniadaniu w McDonalddie, potem już w Toruniu.

Impreza była udana – gratulacje dla organizatorów – nam się podobało. Więcej etapów speleologicznych!!! (takich limitów jak na tym etapie).

PS: Herci oddaj misia!

*Anna Popławska
Ewelina Urbańska*

Honorowi Przewodnicy Imprez na Orientację

Tradycyjnym punktem Zlotu Przewodników Imprez na Orientację jest wręczenie tytułów Honorowego Przewodnika Imprez na Orientację. W dniach 6 – 8 grudnia 2002 r. w Michałowicach koło Jeleniej Góry odbył się V Zlot Przewodników Imprez na Orientację, podczas którego tytuły te wręczono 8 osobom:

Honorowy Przewodnik Imprez na Orientację nr leg. 016

Miecznikowski Jerzy (PInO nr leg. 004) – lat 78, członek PTTK od 1955 r., uprawnienia PInO uzyskał w 1978 r., jest członkiem Koła nr 1 w Oddziale Nauczycielskim

w Łodzi, przodownik turystyki pieszej i kolarskiej. Wyróżniony Złotą Odznaką Honorową PTTK, Złotą Odznaką „Zasłużony w Pracy PTTK wśród Młodzieży” i innymi. Członek Referatu Weryfikacyjnego w Łódzkim Oddziale PTTK. Wieloletni organizator imprez na orientację w środowisku nauczycielskim i wśród młodzieży. Prekursor imprez na orientację w Łodzi i województwie łódzkim.

Honorowy Przodownik Imprez na Orientację nr leg. 017

Pujdak-Oborska Jadwiga (PInO nr leg. 031) – lat 51, członek PTTK od 1973 r., uprawnienia PInO uzyskała w 1978 r., jest członkiem KTP „*Salamandra*” w Łódzkim Oddziale PTTK, przodownik turystyki pieszej. Wieloletni popularyzator imprez na orientację wśród młodzieży łódzkiej, szczególnie w środowisku harcerskim. Członek Referatu Weryfikacyjnego OInO przy Łódzkim Oddziale PTTK.

Honorowy Przodownik Imprez na Orientację nr leg. 018

Begiello Zbigniew (PInO nr leg. 098) – lat 69, członek PTTK od 1968 r., uprawnienia PInO uzyskał w 1979 r. jest członkiem KTK „*Azymut*” i KG „*Koliba*”, działacz Oddziału Miejskiego w Lublinie, przodownik turystyki pieszej i górskiej, instruktor krajoznawstwa, członek Straży Ochrony Przyrody i in., wyróżniony Złotą Honorową Odznaką PTTK, odznaką Zasłużony Działacz Turystyki, aktywny organizator imprez na orientację w środowisku wojskowym w Lublinie.

Honorowy Przodownik Imprez na Orientację nr leg. 019

Lampart Zbigniew (PInO nr leg. 117) – lat 72, członek PTTK od 1958 r., uprawnienia PInO uzyskał w 1979 r., jest członkiem Koła PTTK „*Energetyk*” w Oddziale Kolejowym w Stargardzie Szczecińskim, przodownik turystyki pieszej, instruktor krajoznawstwa, opiekun przyrody PTTK, członek Straży Ochrony Przyrody, wyróżniony Srebrną i Złotą Honorową Odznaką PTTK, odznaką „Zasłużony dla PTTK woj. Szczecińskiego”, Złotą Odznaką „Zasłużony w Pracy PTTK wśród Młodzieży”, Medalem „Za rozwój turystyki w Zakładach Pracy” i innymi, organizator imprez na orientację w środowisku kolejowym.

Honorowy Przodownik Imprez na Orientację nr leg. 020

Socha Zbigniew (PInO nr leg. 129) – lat 48, członek PTTK od 1972 r., uprawnienia PInO uzyskał w 1979 r., jest członkiem SKPG „*Harnasie*” przy Oddziale Uczelnianym Politechniki Gliwickiej, przodownik turystyki pieszej i górskiej, Przewodniczący Komisji InO OU PTTK w Gliwicach w latach 1975-1978, członek KInO ZW PTTK w Katowicach w latach 1979 – 1981, członek KInO ZG PTTK w latach 1981-1993, wyróżniony Srebrną i Złotą Odznaką „Zasłużony w Pracy PTTK wśród Młodzieży”, legendarny organizator Studenckiego Maratonu w Marszach na Orientację „*RYZBAN 79*”, bardzo aktywny organizator imprez na orientację rangi mistrzowskiej, pucharowej i ogólnopolskiej.

Honorowy Przewodnik Imprez na Orientację nr leg. 021

Przybylski Włodzimierz (PInO nr leg. 132) – lat 73, członek PTTK od 1952 r., uprawnienia PInO uzyskał w 1980 r., jest członkiem KTP „**Salamandra**” przy Łódzkim Oddziale PTTK, przewodnik turystyki pieszej nr leg. 107 (!), wyróżniony Złotą Honorową Odznaką PTTK, odznaką Zasłużony Działacz Turystyki i in., inicjator imprez na orientację w środowisku łódzkim w latach 70-tych, aktywny działacz turystyczny.

Honorowy Przewodnik Imprez na Orientację nr leg. 022

Musielak Eugeniusz (PInO nr leg. 152) – lat 66, członek PTTK od 1965 r., uprawnienia PInO uzyskał w 1981 r., jest członkiem Klubu Motorowo-Rowerowego „**Śleżanie**” przy Wojskowym Oddziale PTTK we Wrocławiu, którego jest prezesem; przewodnik turystyki pieszej, kolarskiej i motorowej, wyróżniony Złotą Honorową Odznaką PTTK, Złotą Odznaką „Zasłużony w Pracy PTTK wśród Młodzieży”, srebrną Odznaką „Zasłużony Działacz Turystyki” i in., założyciel Klubu Ino „**Orientop**” przy Oddziale Wojskowym PTTK we Wrocławiu, organizator ino podczas Złotu Turystów Kolarzy „**Śława 96**” oraz wielu imprez dla młodzieży. Jeden z najaktywniejszych Przewodników Imprez na Orientację w środowisku wrocławskim.

Honorowy Przewodnik Imprez na Orientację nr leg. 023

Ziętek Zbigniew (PInO nr leg. 165) – lat 61, członek PTTK od 1971 r., uprawnienia PInO uzyskał w 1981 r., jest członkiem KTK „**Azymut**” przy Oddziale Wojskowym PTTK w Lublinie, przewodnik turystyki pieszej, instruktor krajoznawstwa, wyróżniony Złotą Honorową Odznaką PTTK, brązową Odznaką „Zasłużony Działacz Turystyki” i in., organizator wielu dorocznych imprez na orientację w środowisku lubelskim, wybitny organizator szkoleń wśród młodzieży.

Honorowy Przewodnik Imprez na Orientację nr leg. 024

Hadala Antoni (PInO nr leg. 122) – lat 68, członek PTTK od 1953 r., uprawnienia uzyskał w 1979 r., jest członkiem Koła Terenowego PTTK nr 32 w Rzeszowie, przewodnik turystyki pieszej, górskiej, znakarz szlaków turystycznych, strażnik ochrony przyrody, wyróżniony Złotą Honorową Odznaką PTTK, srebrną odznaką „Zasłużony w pracy PTTK wśród Młodzieży”, Medalem KTG PTTK, Honorowy Przewodnik Turystyki Górskiej. Wspaniały organizator wielu imprez na orientację, prowadzi szkolenia młodzieży z zakresu ino, członek referatu weryfikacyjnego OInO.

Honorowy Przewodnik Imprez na Orientację nr leg. 025

Penkowski Jerzy (PInO nr leg. 040) – lat 52, członek PTTK od 1965 r., uprawnienia uzyskał w 1978 r., jest członkiem Koła PTTK „**Elektrowóz**” Zakładu Taboru w

Bydgoszczy, przodownik turystyki pieszej i górskiej, wyróżniony Złotą odznaką „Zasłużony w pracy PTTK wśród Młodzieży”, Złotą Honorową Odznaką PTTK, Medalem im. Leona Wyczółkowskiego za szczególne zasługi dla PTTK w regionie bydgoskim. Jest jednym z pionierów imprez na orientację w regionie bydgoskim, wyśmienity organizator w środowisku miejskim a przede wszystkim kolejarskim, był członkiem Oddziałowej i Wojewódzkiej Komisji InO. Jest przewodniczącym Komisji InO przy Komisji Turystyki Rady Głównej Kultury Fizycznej Turystyki i Działalności Kulturalnej „Kolejarz” Dyrekcji Generalnej PKP w Warszawie.

Komisja Imprez na Orientację nadając tytuły Honorowych PInO kieruje się, obok wymagań formalnych, zaangażowaniem członków Naszego Towarzystwa w działalność w innych dziedzinach turystyki kwalifikowanej. Wyróżniamy ludzi aktywnych, zaangażowanych, poświęcających swój czas innym, nie oczekujących na jakiegokolwiek wyróżnienia czy gratyfikacje. Komisja, mimo najniższej średniej wieku, potrafi docenić zaangażowanie, wysiłek naszych Kolegów tworzących podwaliny imprez na orientację w latach siedemdziesiątych. Te wyróżnienia są naszym hołdem dla ich aktywności i wysiłku w trudnych czasach, z którego mogą teraz korzystać coraz to młodsze pokolenia.

Honorowi Przodownicy Imprez na Orientację nie muszą składać ankiet-sprawozdań z czteroletniej działalności. Obowiązkowa jest aktualizacja danych osobowych, czyli wypełnienie górnej części ww. dokumentu.

W roku 2003 warunki do nadania tytułu Honorowego Przodownika Imprez na Orientację spełni kolejna grup kolegów. Komisja Imprez na Orientację gromadzi już dokumentację. Wnioski do uzyskania tego tytułu będą rozsyłane do maja 2003 roku. Wręczenie tych zaszczytnych tytułów odbędzie się podczas VI Zlotu Przodowników Imprez na Orientację na zamku w Szydłowcu.

**członek KInO ZG PTTK
ds. przodowniczych**

(-) Zbigniew Tarnowski